

Porażka w Belfaście

**POD PATRONATEM
GAZETY WYBORCZEJ**

„Wesele” w reżyserii Radosława Rychcika w Teatrze Śląskim rozczarowuje. Pomysł, by przenieść je z Bronowic do Belfastu, się nie powiódł.

Powstał spektakl, który teoretycznie niby skrywa jakąś głębię, ale tak na prawdę jest pustym wydmuszką.

MARTA ODZIOMEK

Doprawdy zależało mi na tym, by w Teatrze Śląskim Radosław Rychcik, zeszlorski laureat Paszportu „Polityki”, za działania na gruncie teatru dokonał czegoś wspaniałego, jak udało mu się to w przypadku „Dziadów” w Teatrze Nowym w Poznaniu. Pamiętam dobrze te czasy, kiedy katowicki teatr ani inne zawodowe sceny w regionie nie mogły pochwalić się produkcjami zrealizowanymi przez „głośne” w tym świecie nazwiska. Przez zorganizowaną kilka lat temu „zmianę warty” na dyrektorskich stanowiskach w kilku teatrach wreszcie zaczęło się coś dziać - na Górnym Śląsku powoli zaczęli zaglądać cenieni i dobrze zapowiadający się artyści.

Cieszyła mnie więc wizyta Rychcika w Katowicach. Myślałam, że może wreszcie uda się katowickiemu zespołowi zawojować polskie festiwale.

ARKADIUSZ LAWRYMIANIEC



Potańcówka w irlandzkim pubie niewiele ma wspólnego z „Weselem” Stanisława Wyspiańskiego

Gdyż - nie czarujmy się - obecnie po to właśnie robi się takie eksperymentalne spektakle. By brylować na gościnnych scenach i zgarniać kolejne nagrody. Ale wizyta się nie udała.

Potańcówka w irlandzkim pubie niewiele ma wspólnego z „Weselem” Stanisława Wyspiańskiego. Żeby nie było - nie mam nic przeciwko śmiałym pomysłom, jeżeli tylko są uzasadnione i mieszczą się w granicach interpretacyjnych danego dzieła. To, co Rychcikowi udało się jakimś cudem (cudem świeżości) wykonać we wspomnianych już „Dziadach”, w przypadku „Wesela” kompletnie nie zagrało. Być może dlatego, że reżyser dość powierzchownie potraktował to zadanie. Przeglądając się jego autorskiej, choć miejscami - owszem - interesującej, wizji miałam wrażenie, że jest niekompletna, bo niedopracowana i nieprzemyślana do końca. Stanowi zbiór niezrozumiałych, rozbieżnych

z warstwą słowną, scen, do wyrażenia których realizatorzy posłużyli się kliszami z popkultury i filmów. Tylko że nie są one w stanie wyrazić całej zaplanowanej idei. Są bowiem za mało widowiskowe i niezbyt już oryginalne.

Szkoda aktorów, którzy na czas prób musieli pokornie podążyć za tym karkołomnym pomysłem reżysera. Ze sceny bije ich niepewność co do tego wątpliwej jakości przedsięwzięcia, w którym zgodzili się wziąć udział. Właściwie większość z nich nie miała co grać, gdyż reżyser wyciął większą część dialogów, pozostawiając tylko te wypowiedzi, które pozwalają mu na dalekie wycieczki interpretacyjne.

Aktorzy jednak starają się bardzo wykrzesać z wizji reżysera cokolwiek sensownego. Znakomity jest Artur Świąs w roli Dziennikarza - taki początkujący paparazzi nie rozstający się ze swoim aparatem fotograficz-

nym. Świetnie swoją małą, ale znaczącą rolę zagrała Barbara Lubos jako przywódczyni terrorystycznej organizacji. Kompletnie nie do poznania, potrafiący nawet zmienić brzmienie swojego głosu jest Mateusz Znaniecki w roli Seamusa Heaney, przemądrzałego poety. I Grzegorz Przybył, wcielający się w sparaliżowanego weterana wojennego Eamonna. Okazuje się, że każdy bohater ma tutaj nadpisaną dodatkową rolę, takie alter ego - na wypadek, gdyby żył w Belfaście. Szkoda tylko, że nie jest to wyraźnie pokazane na scenie, a czytamy o tym w programie do spektaklu.

Wszyscy aktorzy, wraz z mężnie kryjącymi tremę rudowłosymi statystami, w pierwszym akcie tworzą nawet interesujące tło dla wydarzeń, które jednak w drugim akcie nie następują. Do żadnej poważnej konkluzji ten spektakl nie prowadzi. Może chodzi o to, że „Wesele” Wyspiańskiego nie-

postrzeżenie zmienia się w dramat symboliczny, a w wersji Rychcika pozbawiony zostaje w znacznym stopniu owej metaforyzacji? I tak na przykład widmo malarza zastąpione zostaje postacią Billy'ego Elliota, który świetnie stepuje, upiorem jest niejaki rzeźnik William Moore, a Wernyhorą chłopaczek z waltornią, która staje się owym słynnym złotym rogiem. O chochole nie pada ani słowo, a końcowy taniec przed opadnięciem kurtyny jest bardzo żwawy i zdaje się, że nim właśnie Rychcik chce nam odpowiedzieć na pytanie, czy wesele jako rytuał może zaprowadzić pokój w zwaśnionym, poróżnionym na unionistów i separatystów narodzie.

Według niego może. I radzi - słowami jednego z bohaterów - by walczyć o ten pokój nie bronią, ale piórem. Szkoda tylko, że owa waśń na scenie sprowadziła się do jednej strzelaniny i serii niezbyt zrozumiałych przypadkowych scen. A pary młodej, która miała na wzór Romea i Julii walczyć o prawo do swojej miłości, prócz dialogu otwierającego przedstawienie, można potem ze świecą szukać. Gdzie ta walka o uczucie? Nie wiem, nie dostrzegłam jej. Więcej do powiedzenia na ten temat miały drugoplanowe postaci, zwłaszcza kobiece, które - jak to zwykle bywa - padają ofiarą męskich zachcianek.

Premiera w Teatrze Śląskim ma jednak też swoje dobre strony. Oglądając spektakl, nabrałam ochoty, by w wolnej chwili obejrzeć jakieś ciekawe filmy pokazujące konflikt toczący się w Irlandii Północnej. Być może to sprawa oprawy wizualnej zaprojektowanej przez Annę Marię Karczmarską, której jako jedynej udało się to „Wesele” za pomocą kostiumu przenieść do Belfastu. Gratuluję też braciom Michałowi i Piotrowi Lisom za niezły podkład muzyczny, który temu chaotycznemu zbiorowi nieklejących się w żaden sposób scen nadaje jakiś rytm. Choć wydaje mi się, że w poprzednich realizacjach Rychcika kompozytorzy byli pod tym względem bardziej twórczy. ●